

„Ale pachniały zioła...”. Kilka uwag o *Orfeuszu* i *Eurydyce* Czesława Miłosza

I

Carol Thigpen-Miłosz umarła 15 sierpnia 2002 roku, dziesięć lat po ślubie z poetą. Miała 58 lat, on – dziewięćdziesiąt jeden.

Miało być zupełnie inaczej – to ona, o tyle lat młodsza, wysportowana, radosna, miała odprowadzić męża w ostatnią podróż, a później opiekować się jego spuścizną. Tymczasem w połowie 2002 roku zaczęła czuć się źle i poleciała na badania do Kalifornii, gdzie wszystko potoczyło się błyskawicznie: zmarła po sześciu tygodniach [...]. Czesław, sam walcząc z coraz większą słabością, wyruszył w swą ostatnią podróż do Ameryki i zdążył się pożegnać z żoną w szpitalu w San Francisco, którego zimne, sterylne korytarze znalazły miejsce w powstałym krótko potem *Orfeusz i Eurydyka*¹.

Miłosz pisał *Orfeusza i Eurydykę* w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu. 6 października 2002 wiersz można było przeczytać w 40 numerze „Tygodnika Powszechnego”. W pierwszym książkowym wydaniu poeta dodał do wiersza dedykację: „In memoriam Carol”².

II

Wiersz jest opowieścią o Orfeuszu, który współcześnie (jednoznacznie określają to realia: „płyty chodnika”, „światła aut”, „oszkłone drzwi”, „labirynt korytarzy, wind”, „elektroniczne psy”) schodzi do królestwa śmierci, by wyrwać z niego Eurydykę³. Jest opowieścią – nie znajduję racji, aby tak

* Uniwersytet Łódzki, Instytut Filologii Polskiej, Katedra Literatury i Tradycji Romantyzmu.

¹ A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 745–746.

² *Orfeusz i Eurydyka*, tekst polski, angielski, niemiecki, rosyjski i szwedzki, Kraków 2002.

³ „Stojąc na płytach chodnika przy wejściu do Hadesu / Orfeusz kulił się w porywistym wietrze, / Który targał jego płaszczem, toczył kłęby mgły, / Miotał się w liściach drzew. Światła aut /

tego nie widzieć — Starego Poety o nim samym jako Orfeuszu — o Miłoszu wąpiącym w siebie:

Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami, niepewny,
Czy starczy mu sił w tej ostatniej próbie.

Pamiętał jej słowa: „Jesteś dobrym człowiekiem”.
Nie bardzo w to wierzył. Liryczni poeci
Mają zwykłe, jak wiedział, zimne serca.
To niemal warunek. Doskonałość sztuki
Otrzymuje się w zamian za takie kalectwo.

Tylko jej miłość ogrzewała go, ucłowieczała.
Kiedy był z nią, inaczej też myślał o sobie.
Nie mógł jej zawieść teraz, kiedy umarła.

o człowieku pełnym poczucia winy i o śpiewaku nic więcej ponad lirę i muzykę nieposiadającym:

Otaczały go twarze tłoczących się cieni.
Niektóre rozpoznawał. Czuł rytm swojej krwi.
Czuł mocno swoje życie razem z jego winą
I bał się spotkać tych, którym wyrządził zło.
Ale oni stracili zdolność pamiętania.
Patrzyli jakby obok, na tamto obojętni.

Na swoją obronę miał lirę dziewięciostrunną.
Niósł w niej muzykę ziemi przeciw otchłani
Zasypującej wszelkie dźwięki ciszą.
Muzyka nim władała. Był wtedy bezwolny.
Poddawał się dyktowanej pieśni, zaśluchany.
Jak jego lira, był tylko instrumentem.

o poecie — i jedyny to jasny jego punkt — wrogu nicości:

Śpiewał o jasności poranków, o rzekach w zieleni.
O dymiącej wodzie różanego brzasku.
O kolorach: cynobru, karminu,
sieny palonej, błękitu,
O rozkoszy pływania w morzu koło marmurowych skał.
O ucztowaniu na tarasie nad zgiełkiem rybackiego portu.
O smaku wina, soli, oliwy, gorzycy, migdałów.
O locie jaskółki, locie sokoła, dostojnym locie stada
pelikanów nad zatoką.

Za każdym napływem mgły przygasaly. // [...] // Pchnął drzwi. Szedł labiryntem korytarzy,
wind. / Sine światło nie było światłem, ale ziemskim mrokiem. / Elektroniczne psy miały go
bez szelestu. / Zjeżdżał piętro po piętrze, sto, trzysta, w dół. / Marzył. Miał świadomość, że
znalazł się w Nigdzie. / Pod tysiącami zastygłych stuleci, / Na prochowisku zetlałych pokoleń,
/ To królestwo zdawało się nie mieć dna ni kresu”.

O zapachu naręczy bzu w letnim deszczu.
O tym, że swoje słowa układał przeciw śmierci
I żadnym swoim rymem nie sławił nicości.

o człowieku bezsilnym wobec utraty i śmierci:

Kiedy zaczynał iść, odzywał się ich dwutakt,
Raz, zdawało mu się, bliżej, to znów dalej.
Pod jego wiarą urosło zwątpienie
I oplatało go jak chłodny powój.
Nie umiejący płakać, płakał nad utratą
Ludzkich nadziei na z martwych powstanie,
Bo teraz był jak każdy śmiertelny,
Jego lira milczała i śnił bez obrony.
Wiedział, że musi wierzyć i nie umiał wierzyć.
I długo miała trwać niepewna jawa
Własnych kroków liczonych w odrętwieniu.

III

Podobnie jak w kanonicznej opowieści, Orfeusz Miłosza (Miłosz-Orfeusz) nie zdołał wyrwać ukochanej z objęć śmiertelnego snu:

Dniało. Ukazały się załomy skał
Pod świetlistym okiem wyjścia z podziemi.
I stało się jak przeczuł. Kiedy odwrócił głowę,
Za nim na ścieżce nie było nikogo.

Tak, w istocie niezbyt daleko od mitycznego finału, kończy się katabaza Miłosza-Orfeusza. Kończy katabaza, kończy jego zejście do Hadesu, ale nie wiersz, nie poemat o tym zejściu. Wiersz, poemat — kończy się inaczej:

Słońce. I niebo, a na nim obłoki.
Teraz dopiero krzyczało w nim: Eurydyko!
Jak będę żyć bez ciebie, pocieszycielko!
Ale pachniały zioła, trwał nisko brzęk pszczół.
I zasnął, z policzkiem na rozgrzanej ziemi.

Mówi ta strofa o...

IV

Rok po opublikowaniu *Orfeusza i Eurydyki* poeta dał, w rozmowie z Tomaszem Fiałkowskim, komentarz do utworu. Rozpoczął ten komentarz od odpowiedzi na pytanie rozmówcy o genezę wiersza: „Czy sztuka łagodzi cierpienie? Czy wpisanie własnego bólu w odwieczny topos pomaga godzić się z utratą?” Mówił:

Niewątpliwie. Sam się nawet dziwiłem wewnętrznej konieczności napisania *Orfeusza i Eurydyki*, co mogę wytłumaczyć jedynie przesunięciem na ten utwór całej osobistej problematyki. Pisałem go nocami, zamiast rozmyślać, przychodziły kolejne fragmenty, jakby bez mojej woli. Zawsze dążyłem do sztuki obiektywnej, ale rzadko udawało mi się tego dokonać. Sięgnięcie po mit jest właśnie próbą przeniesienia swojego osobistego uczucia czy przeżycia w świat obiektywny.

I dodawał:

Ten utwór ma pewien klucz. Leciałem z Krakowa do San Francisco, wiedząc, że Carol umiera i że koniec jest nieunikniony; jedyne, o co chodziło, to żeby zdążyć do szpitala przed jej śmiercią. I właściwie ta podróż po Hadesie to jest moja podróż do San Francisco i wędrówka po szpitalu⁴.

W finale rozmowy Fiałkowski pytał o zajmującą mnie strofę:

Utraciwszy Eurydykę, Orfeusz rozpacza, potem jednak zasypia. „Ale pachniały zioła, trwał nisko brzęk pszczoł”: czy to jest odnalezienie kojącej jedności z naturą, swojego miejsca w rytmie jej przemian, czy raczej rezygnacja?

Miłosz odpowiadał:

Nie wiem. Ktoś powiedział, że Orfeusz w swojej wędrówce nauczył się miłości, że jego wędrówka to jest właściwie lekcja miłości do Eurydyki. Nawet jego zwątpienie jest częścią tej lekcji; ja nie wierzyłem, że Carol przeżyje, wiedziałem, że nie ma dla niej ratunku. Orfeusz nie bardzo rozumie, co się z nim dzieje, kiedy wraca z Hadesu, ale zasypia z policzkiem na rozgrzanej ziemi, w jakiś sposób mając Eurydykę w sobie. Powiedzieć o kimś, że przyniósł dar miłości, to przecież największy hołd, jaki można mu złożyć.

Jest katabaza w wierszu Miłosza wędrówką, która doprowadza Starego Poetę-Orfeusza do absolutnej, w pełni zobiektywizowanej i w tej obiektywności czy rzeczowości maksymalnie uwewnętrznionej, a od jego woli niezależnej wiedzy o utracie: „krzyczało w nim: Eurydyko! / Jak będę żyć bez ciebie, pocieszycielko!”. „Krzyczało”, nie: krzyczał. Ma ten czasownik – owo „krzyczało”, to „krzyczało” – swój ciężar u poety, który kilka lat wstecz napisał dramatyczny wiersz *To* i postawił ten wiersz na początku książki poetyckiej pod takimż tytułem.

Jest to wykrzyknienie – takie właśnie – kresem, granicą, „kamiennym murem”. Wiersz – hołd Starego Poety-Orfeusza dla jego Eurydyki – mógłby się tutaj, mógłby się na tym wykrzyknieniu kończyć. Na wykrzyknieniu, które jest murem, nieubłagany, do jakiego dochodzi Orfeusz, każdy Orfeusz. Nie

⁴ *Brama do Hadesu*. Z Czesławem Miłoszem rozmawia Tomasz Fiałkowski, „Gazeta Wyborcza” 2003, nr 232, cytuję za: C. Miłosz, *Rozmowy polskie 1999–2004*, Kraków 2010, s. 509.

każdy Orfeusz musi się przecież przed tym murem zatrzymać. Ten — nie zatrzymuje się:

Ale pachniały zioła, trwał nisko brzęk pszczoł.
I zasnął, z policzkiem na rozgrzanej ziemi.

Jest w tym „odnalezienie kojącej jedności z naturą [...] czy raczej rezygnacja?”. Miłosz mówi: „Nie wiem”. Nie znajduję nic, co pozwalałoby mi wiedzieć więcej. Może oprócz tego, że słyszać i że widzieć w tych dwóch liniijkach kończących wiersz wiele z tego, o czym pisał poeta dziesięć lat wcześniej, w 1993 roku, w wierszu *Łąka* zamykającym cykl *Litwa, po pięćdziesięciu dwóch latach*⁵:

Była to łąka nadrzeczna, bujna, sprzed sianokosów,
W nieskazitelnym dniu czerwcowego słońca.
Całe życie szukałem jej, znalazłem i rozpoznałem:
Rosły tu trawy i kwiaty kiedyś znajome dziecku.
Przez na wpół przymknięte powieki wchłaniałem świetlistość.
I zapach mnie ogarnął, ustało wszelkie wiedzenie.
Nagle poczułem, że znikam i płaczę ze szczęścia.

Może tyle jeszcze wolno dodać: widzieć i słyszać wiele z tego, co najprościej nazwałbym epifanią istnienia.

Summary

Jacek Brzozowski

“Ale pachniały zioła...”.

A Few Comments on *Orpheus and Eurydice* by Czesław Miłosz

The text is an attempt to prove that the descent to the underworld that the poem depicts (written after Carol's death) led the Old Poet-Orpheus to absolute, completely objective and maximally interiorized knowledge of loss. The knowledge is of certain weight to the author, who only a few years earlier wrote a dramatic poem entitled 'It' ('To') and made it the first text of his poetic book under the same title. Unlike the case of the ancient Orpheus, or other later Orpheuses, that knowledge is not, however, the character's final destination. The ending of the poem allows the reader to assume that — typically of Miłosz — it is an opening to the grand epiphany of existence.

⁵ Z tomu *Na brzegi rzeki*, 1994 (pierwodruk: „Zeszyty Literackie” 1993, nr 43).